

zywszy ręce, a wtedy Anastazja stała ją lała.

— Ja — odpowiadała dziewczyna — odpoczywam w święto.

— W święto — wrzeszczała Anastazja — masz usługiwać mnie; ja cię przygarne- lam i dala ci pierwszy kęs chleba.

Więc pewnego poranka o świcie, nie zdając sobie zgoła sprawy z tego, co robi, pełną ścieżyną skierowała się ku pobliskiej stacji.

Po drodze spotkała Romka, który chciał ją uszczypnąć.

— Jesteś ładna, Rozyno i podobasz mi się.

— Jeśli się ze mną ożenisz i zabierzesz mnie z fabryki i od starej, to będę cię ko- chała.

— Zarty — odparł chłopak — a pie- niążki?

Właśnie, by je zdobyć, Rozyna uciekała z wioski. Miała przy sobie parę groszy, kupiła bilet i za pół godziny znalazła się w mieście.

A miasto budziło się dopiero: tramwaje, wózki, powozy. Rozyna była ogłuszona i straciła głowę; nareszcie znalazła się w jakimś parku, gdzie usiadła na ławce i ciężko wzdychając myślała przytem o Romku i gryzła kromkę chleba.

Powoli aleje parku zapełniły się dziećmi, a z dziećmi przyszyły matki i nianie.

Niedaleko od niej usiadły na ławce dwie panie.

— Jestem w rozpacz — mówiła star- sza — nie mogę znaleźć służącej.

— Ja — odparła druga — wyrzekłam się jej na zawsze. Jest nas tylko dwoje w domu.

— Ale ja mam przecież dziecko i mie- szkanie większe, niż twoje. Karolku uwa- żaj; upadniesz.

Istotnie, Karolek wdrapał się na poręcz ławki i stąd buch! na ziemię.

Rozyna przybiegła pierwsza, podniosła chłopczykę, otarła mu buzię, oczyściła ubranko i podała matce.

Karolek płakał, a zniecierpliwiona ma- musia rzekła do przyjaciółki:

— Widzisz, ile czasu zabiera mi ten lo- buz!

— Proszę pani — odezwała się Rozy- na — ja mogłabym być tą, której pani szu- ka.

— Kto jesteś? — spytała pani.

Rozyna na oczekaniu ułożyła sobie ca- łą bajkę: że była biedną, wiejską sierotą, przybyła do miasta w poszukiwaniu pracy.

— Ale gdzie mieszkasz w mieście? — podejrzliwie spytała matka Karolka.

— Mieszkam — odparła Rozyna — na takiej ulicy, pod takim numerem, w domu starej ciotki (tu podała nazwisko), która mnie bije i nie chce utrzymywać. Jeśli mnie pani przyjmie — dodała — nie będę żądała dużej pensji.

— A co umiesz robić?

— Umiem ślać łożka, trochę gotować i prać.

— Jeśli to prawda, to jesteś perłą, któ- rej poszukuję.

— Ale — rzekła przyjaciółka — a infor- macje?

— Po informację — przerwała Rozy- na — miech pani idzie do mojej ciotki: jest znana na całej ulicy, bo zapomniałam po- wiedzieć, że ma swój sklep.

— Jaki?

— Mleczarnię.

— Wiesz co, — rzekła matka Karolka do przyjaciółki — spróbuję; w najgorszym razie dam jej szcztokę do ręki, miech za- miata i wyciera.

Tymczasem słońce wzniosło się wyso- ko i nadeszła pora obiadu. Więc obie pa- nie powstały. Mama Karolka przywołała Rozynę i rzekła:

— Chodź ze mną.

Dziewczyna nie kazała sobie tego po- wtórzyć dwa razy.

— Ach! słuchaj — rzekła przyjaciółka — łoża...

— Jeśli będzie, zatelefonuję ci, albo po- śię ci tę dziewczynę, bo telefonu jeszcze- ny się nie dorobili.



Łoża była: bilet przyniósł mąż, który oszukiwał żonę i dlatego był pełen galan- terji dla niej.

— Niespodzianka za niespodziankę — rzekła żona, ściskając go — spójrz, kogo sprowadziłam do domu. Istną perłę.

— Doskonale — odparł mąż, z uśmie- chem patrząc na dziewczynę — jeśli znasz robotę, to w naszym domu znajdziesz szczęście.

— Mnie wystarczy — odparło biedac- two — jeśli znajdę chleb.

— A potem — wtrąciła pani — pokażę ci, jak trafić do mojej przyjaciółki, napiszę jej, że ją zapraszam do łoży.

— Ach, jeśli zabierasz przyjaciółkę, to ja skorzystam z tego i pójdę jeszcze raz do biura. Za „dodatkowe“ godziny płacą pod- wójnie, więc zarobię jeszcze trzydzieści lir. A dzisiaj — przecież to koniec miesią- ca — przyniosłem tysiąc dwieście lir.

Uradowani zasiedli do stołu.

Po obiedzie pani zawołała Rozynę i wy- szła z nią na balkon.

— Widzisz tę ulicę?

— Widzę.

— Widzisz tramwaje, jedne idą w tę stronę, a drugie w przeciwną: musisz sta- nąć po tej stronie. Gdy zobaczysz numer I, wejdź do niego. Masz tu pieniądze na bi- let i temu panu co ci da bilet pokaż tę kart-

kę na której wypisałam ulicę i numer doma i poproś, żeby ci wskazał, gdzie masz wy- siaść. Czy zrozumiałaś?

— Tak, proszę pani.

— Ja napiszę liścik, a tymczasem ty, weź szcztokę i sprzątnij pokój sypialny.

Ale do sypialni wszedł pan domu, który rzekł do żony, całując ją:

— Pieniądze są w tej szufladzie, wiesz, że nie lubię spacerować z tysiączkami w kieszeni.

Rozyna była w korytarzu i miała szcztokę w rękę.

— Wiedz — mówiła pani, pisząc list — że zaraz wychodzę z domu, by zasięgnąć o tobie języka u twojej ciotki.

— Proszę powiedzieć ciotce — zawoła- ła Rozyna — że jestem tu od godziny, a już mi się zdaje, że dostałam się do raju.

— Dobrze — odparła pani, śmiejąc się i zasiała do biurka.

Rozyna chwyciła za szcztokę i w ten sposób dostała się blisko stoliczka, gdzie pan złożył pieniądze.

Z otwartej szuflady wyglądały na świat boży te papierowe szmatki: było ich siedem czy osiem.

Rozyna pochwyciła je w garść i wsunę- ła do kieszeni, gdyż te papierowe szmatki mogą skusić i mocniejsze mózgi, niż mózg biednej Rozyny.

Potem wzięła od pani list; uważnie wy- słuchała wskazówek, kilkakrotnie powta- rzanych i wyszła.

Na ulicy podniosła głowę, czuła bowiem, że pani patrzy na nią z balkonu, więc wsiad- ła do tramwaju Nr. 1; przejechała kilka- set metrów i zapytała:

— Czy tędy jedzie się na stację?

— Przeciwnie — odpowiedzieli jej. — Trzeba wsiąść w numer 2.

Zatrzymano tramwaj: wskoczyła do nu- meru 2 i zajęła na stację.

Pociąg prawie odchodził, więc wskoczy- ła do wagonu i powróciła na wieś.

Zmierzchało już, gdy przybyła i słyhać było bicie dzwonów za kołającego.

Przyśpieszyła kroku i w uliczce spotka- ła przyjaciółki.

— Gdzie się podziewasz, gdy stara two- ja kona?

— Też mi nowość — odparła Rozyna — przecież męczy się już od samego rana. Byłam właśnie w mieście po doktora.

Stara umarła w nocy: pozostawiła do- mek, łożeczko, dwa stoliki i trochę garn- ków.

Spadkobierców nie było Rozyna odzie- dziczyła wszystko.

Mówiła do ludzi:

— Patrście, jak stara ciułała pieniążki dla siebie i dla mnie, pod cegłą znalazło się grosiwo.

Więc Romek stanął na progu, wsunął głowę i rzekł

— Ja obstaję przy tem, co mówiłem tamtego ranka.

Tum. E.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, 21 kwietnia 1929 r.

Nr. 16.

Urok i poezja wiosny.



Znekani długotrwałą zimą i mrozną wiosną mieszkańcy miast zachwycać się mogą tylko pięknymi zdjęciami, względnie obrazami mistrzów bo w rzeczywistości aura masza jakoś kaprysi. Na zdjęciu jeden z pięknych obrazków rodzajo- wych wiosny.

TEATRALIA

„Samuel Zborowski“ — Historje o Molnarze. — Aktor autorem. — Drobiazgi teatralne.

Coś się na lepsze widać zmienia w naszym dramtopisarskim świecie, bo oto po „Niespodziance“ druga już wielka i tęga sztuka polska przemówiła mocnym głosem ze sceny. Historyczny dramat Ferdynanda Goetla p. t. „Samuel Zborowski“, wystawiony w warszawskim Teatrze Polskim, potraktowany został przez krytykę i publiczność z rewerencją, należną jednemu z najbardziej utalentowanych i samodzielnych współczesnych pisarzy polskich, dzięki czemu obeszło się szczęśliwie bez nudnych banałów i fałszywych komplementów, zaś słowa obiektywnych stwierdzeń mają w sobie podźwięk rzetelnego uznania i wysokiej satysfakcji. W przeciwieństwie do autora „Batorego“, o której to sztuce pisaliśmy niedawno, p. Goetel wymyślał szczęśliwie łatwe pokusy wyzyskania historycznego tematu w kierunku przedewszystkiem widowiskowym, zdobył się natomiast — jak mówi jeden z krytyków — na sztukę „dojrzenia w historycznych prawie marionetkach lub baśniowych herosach — wiecznych dzieł duszy ludzkiej“. Niezależnie od poważnych, a ogólnie podkreślanych zalet literacko-artystycznych „Samuela“, ten właśnie moment zaktywizowała i psychologicznego zaktualizowania uświęconych szablonów historycznych, nadania im ludzkiego wyrazu i dynamiki wewnętrznej — stanowią bodaj przedewszystkiem o wartości i niepowszedności dramatu Goetla. Mniejsza lub większa teatralność poszczególnych scen, silniejsze lub słabsze miejscami pulsowanie dramatycznego tętna nie nadwątlała bynajmniej tych rzadkich a cennych zalet sztuki, która czyni wrażenie mocne i głębokie. Szeroko i pięknie traktowana jest zwłaszcza postać Batorego, która w charakterystycznym skrócie malarskim na tle sejmującego tłumy szlacheckiego, wylania się jakgdyby z ram znakomitego obrazu — żywa, niezapomniana, pełna tragicznego niemal wyrazu w doskonałej autorskiej kondensacji.

Teatr Polski, na co go stać, dał „Zborowskiemu“ oprawę kostiumowo-dekoracyjną znakomitą i wspaniałą, w czem zasługa Karola Frycza. Z pośród wykonawców niezręcznymi kreacjami zabłysnęli: Leszczyński (Zborowski), Junosza-Stępowski (Batory). Jednowski (Zamoyski), Paniewiczowa (Gryzelda) i inni. Całość zasługuje w całej pełni na miano wielkiej opery sezonu.

Tradycje monarchistyczne, niewygasłe dotąd bynajmniej w Niemczech, przesiakają również poprzez niektóre kordony graniczne. Dowodem tego — losy komedji Molnara p. t. „Olympia“, która, odbywszy swój triumfalny chrzest w Berlinie — miała być wystawiona w wiedeńskim „Burgteatrze“. Ponieważ jednak „Olympia“ jest cięta satyra na dawniejsze dworskie stosunki w Austrii, szereg osobistości anclen regime'u, dotąd najwidoczniej bardzo wpływowych, zdołał osiągnąć zaniechanie wy-



Uroczystość poświęcenia sztandaru Towarzystwa Asysty Kościelnej w Chojnach. Powyżej grupa członków towarzystwa ze sztandarem i duchowieństwem na czele.

stawienia komedji w „Burgteatrze“, aby nie drażnić uczu ex-poddanych Franciszka i Karola. Molnar podobno wcale się nie przejął rekuzą wiedeńskich monarchistów, zaś dyrekcji „Burgteatru“ ofiarował inną komedję p. t. „Raz, dwa, trzy“, której temat nie może zadrasnąć niczych uczuć — legitymacyjnych.

Autor znanej w Łodzi „Sekretarki panna prezesa“, Fodor, posiada t. zw. wieczne pióro, któremu przypisuje właściwości cudownego niemal amuletu. Wszystkie sztuki Fodora, pisane przezeń tem piórem, cieszyły się wszędzie powodzeniem; gdy zaś zdarzyło się raz, że Fodor, zapomniawszy pióra, musiał się w jakiejś kąpielowej miejscowości obejść bez niego, pisząc nową sztukę — sztuka padła. „Cudowne“ przymioty pióra nabrały jeszcze większych walorów. Bawiąc niedawno w Berlinie, gdzie zabrał się do pisania sztuki p. t. „Wieczne pióro“, Fodor zgubił gdzieś swój bezcenny talizman. Zrobił się gwałt i rwać, przeszukano hotel od strychu aż do piwnic — bezskutecznie. Fodor był już bliski zamiaru zaniechania pracy nad nową sztuką, ogłosił jednak wysoką nagrodę za znalezienie pióra. I oto — szczęśliwie — pióro znalazła pokojówka hotelowa, czyszcząc kamizelkę autorską. Należy więc się spodziewać, że „Wieczne pióro“ będzie miało sukces, niemierniejszy od poprzednich sztuk Fodora.

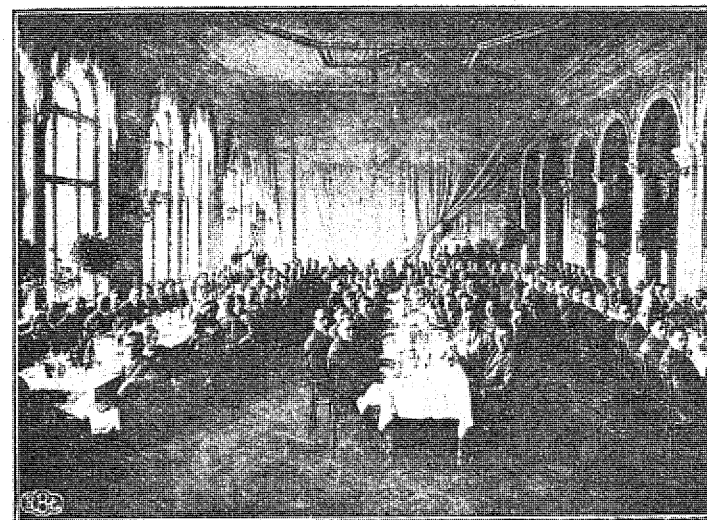
Znakomity aktor praski, Stepanek, od twórcy wielu wielkich ról dramatycznych, wystąpił w teatrze na Winohradach w charakterze — autora sztuki „Klasztor w tajdze“. Osnową sztuki są walki sybirskie legionów czeskich z bolszewikami, w których to walkach Stepanek brał w swoim czasie udział czynny. „Klasztor w tajdze“

spotkał się z bardzo przychylnym przyjęciem, tem więcej, że w głównej roli dzielnego legionisty wystąpił sam autor, zbierając tym sposobem podwójne laury.

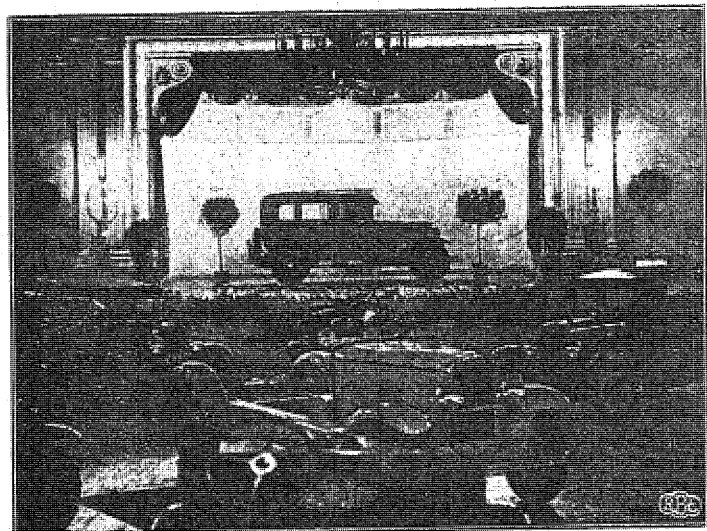
Autor „Uczty szyderców“, która w triumfie obiegła wszystkie większe sceny świata, Sem Benelli, napisał nową sztukę p. t. „Orfeusz i Prozerpina“. Sztukę tę, powitana entuzjastycznie, wystawił jeden z teatrów modjolańskich. Jak twierdzi krytyka, nowa sztuka Benelli'ego nie ustępuje jego „Gorgonie“, uważanej za punkt kulminacyjny twórczości autora. Charakterystyczne jednak, że „Uczta szyderców“ przyniosła Benelli'emu daleko większy rozgłos, aniżeli pełna walorów poetyckich „Gorgona“.

W teatrze paryskim „Gaité-Lyrique“ cieszą się wyjątkowym sukcesem występy opery rosyjskiej pod dyktando Sławiańskiego-Argeniewa i Dawidowa. Zespół składa się z najwybitniejszych artystów operowych b. carskich teatrów w Moskwie i Petersburgu. Celem uczczenia 35-iej rocznicy śmierci Piotra Czajkowskiego, opera rosyjska wystawiła m. in. jego „Damę pikową“ i „Eugenjusza Oniegina“. Przed występami zespołu rosyjskiego, w „Gaité-Lyrique“ gościła opera włoska, którą to gościnę uświetnił udział Mascagni'ego, jako dyrygenta.

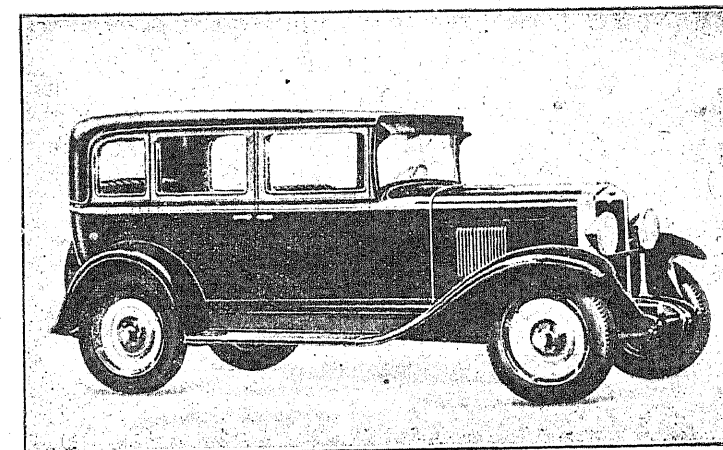
Delta.



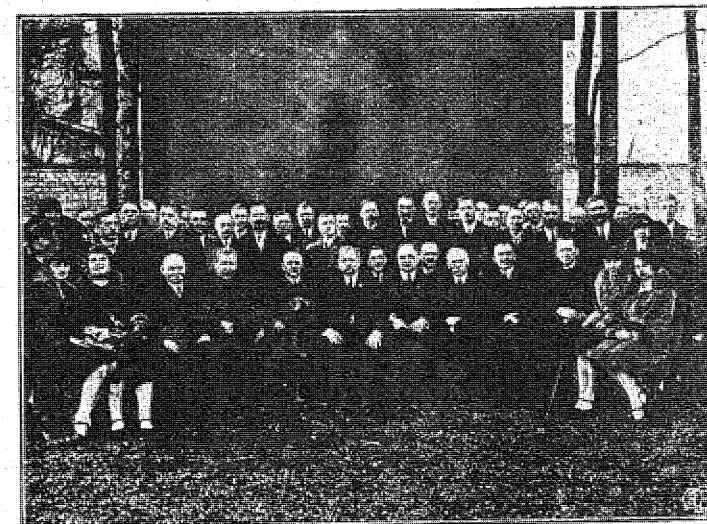
Ostatnio na rynek polski wypuszczone zostały samochody 6-cio cylindrowe nowego typu „Chevrolet“. Z tej okazji odbył się w Warszawie, w sali Doliny Szwajcarskiej, bankiet zorganizowany przez General Motors w Polsce dla swych zastępców i sprzedawców. Powyżej na lewo widzimy uczestników bankietu, na prawo zaś podobiznę p. O. K. Windin-ga, kierownika wydziału sprzedaży General Motors w Polsce.



Siedem modeli nowego 6-cio cylindrowego samochodu marki „Chevrolet“, wystawionego w salach Doliny Szwajcarskiej z okazji zjazdu zastępców i sprzedawców General Motors w Polsce.



Okazowy wehikuł pięcioosobowego samochodu 6-cio cylindrowego nowego typu „Chevrolet“, wytworzonego w salach Doliny Szwajcarskiej w Warszawie.



Uczestnicy walnego zebrania Banku Fowszecznego, mieszczącego się w Łodzi, przy ul. Stenkiwioza Nr. 40.



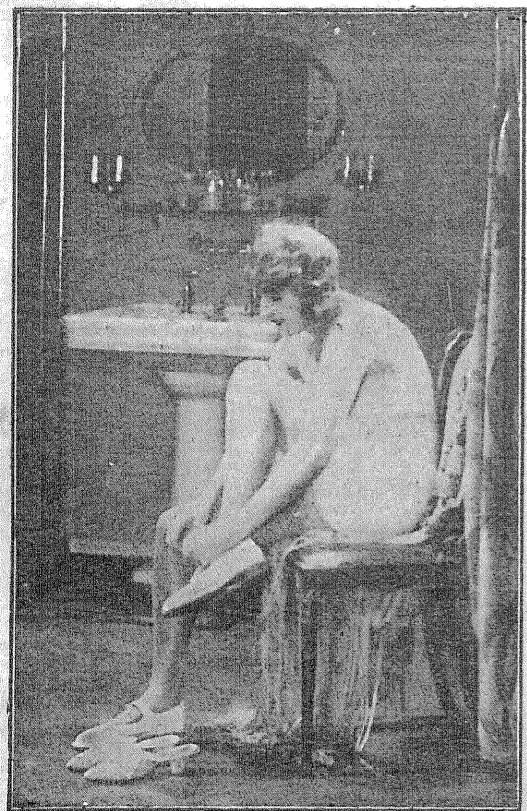
Ożywioną działalność wykazuje Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w Łodzi. Powyżej widzimy członków towarzystwa oraz przedstawicieli prasy.



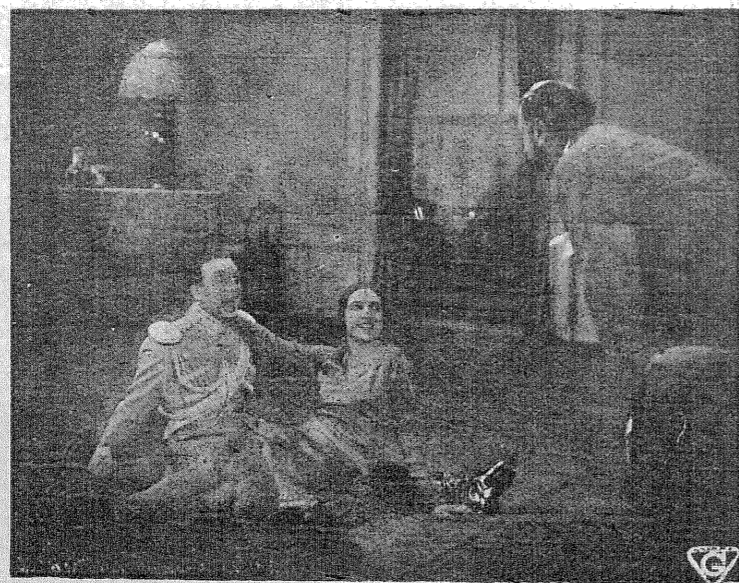
Ulubieniec miłośników kina, utalentowany artysta filmowy, Conrad Veidt, wykonał dla wytwórni „Universal” w Hollywood 3 wielkie role w filmach: „Szarlatan”, „Eryk Wielki” oraz w filmie „Zaczynamy” i postanowił powrócić po dłuższej nieobecności do Europy. Powyżej najnowsza podobizna uzdolnionego artysty.



Laura La Plante, gwiazda wytwórni „Universal” w filmie p. n. „Niewdziatko”.



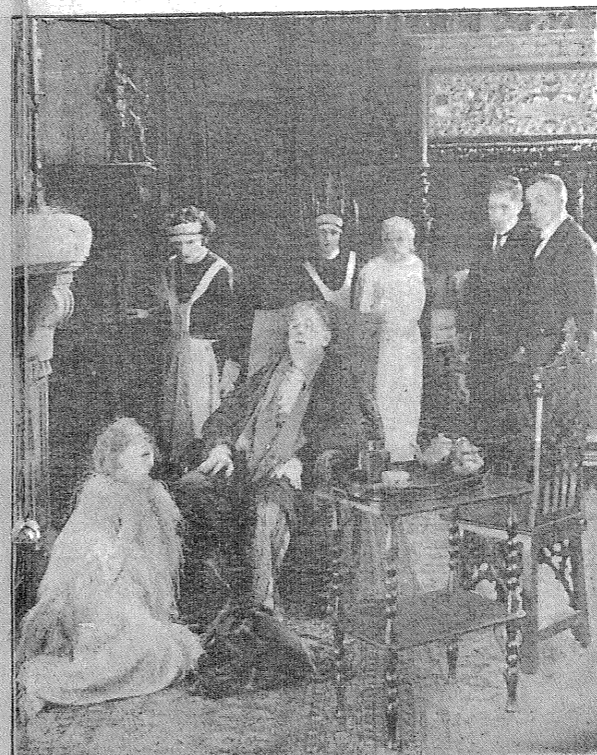
Artystka filmowa, Vivian Gibson, odtwarzająca popisową rolę w filmie p. n. „W spelunkach Rio de Janeiro”.



Iwan Mozzuchin z partnerką swą, Carmeną Boni, w dramacie filmowym p. n. „Adjutant”.



Najsympatyczniejszy artysta film. występujący w roli amanta, Charles Rogers, dał się już niejednokrotnie poznać światu, a szczególnie w filmie p. n. „Skrzydła”, który przewędrował całą bezmałą kulę ziemską.



▲ Piękny jest film p. n. „Sprzedana młodość”, zrealizowany według powieści Anatola France'a p.t. „Jocasta”. Na zdjęciu fragment tego filmu



Reżyser Alfred Hitchcock i cały zespół artystów z Aleksandrem d'Arcy na czele w czasie zdjęć do filmu p. n. „Córka pułku”.



Paulina Frederick w najnowszym filmie „Julfilmu” p. n. „Żona Jowelina”.



Ryszard Eichberg, twórca obrazu p. n. „Brudne pieniądze” zrealizował nowy film p. n. „Motyl brukowy”.



Fragment z filmu „Dziewica Orleańska”.



Przyszła gwiazda łyżwiarska z zapałem tańczy na lodzie w takt orkiestry.



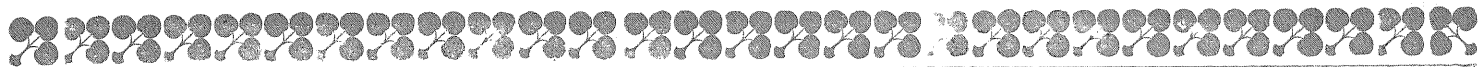
W chwili, gdy oczekujemy z utęsknieniem wiosny, na południu można grać w szachy, przebywając w morzu dla ochłody.



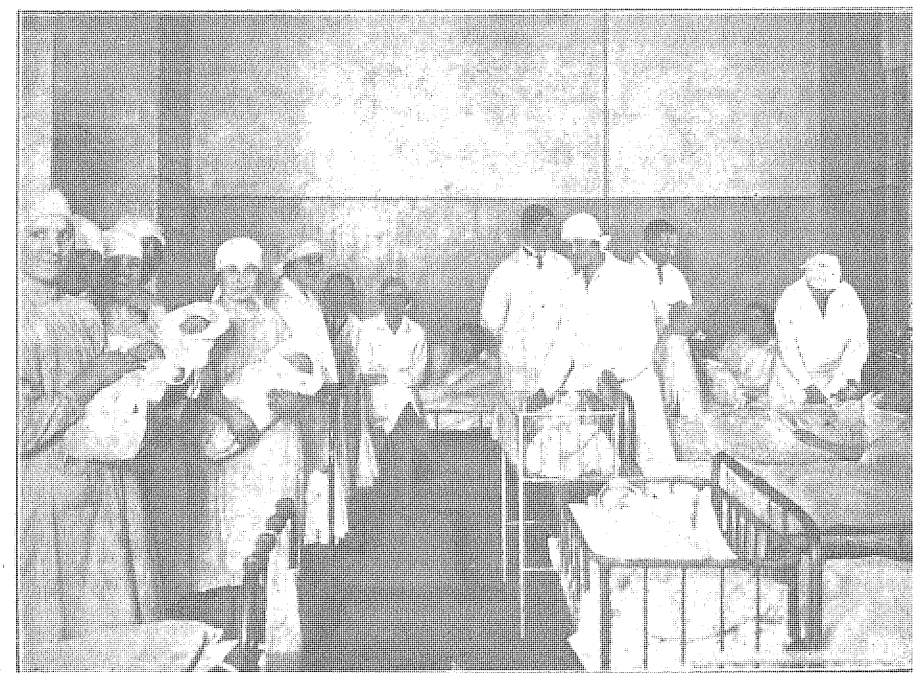
Ćwiczenia uczestniczek kursu wychowania fizycznego w Warszawie z łodzianką Kobielską.



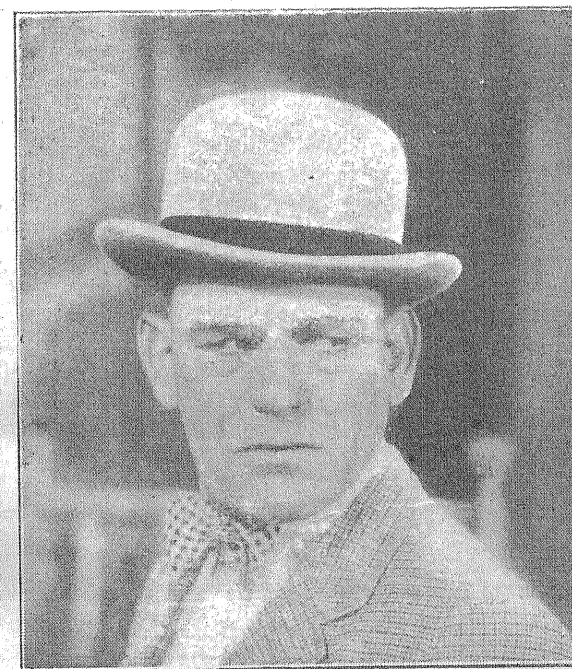
Nauka chwytu piłki na kursie wychowania fizycznego w Warszawie.



Znany w kołach miejscowego społeczeństwa kapitan 10 pułku artylerji polowej, p. Leroch-Orlot, mianowany został w bieżącym miesiącu majorem i powołany na stanowisko szefa wydziału w Biurze Personalnym Min. Spraw Wojsk. Powyżej podobizna majora Leroch-Orlota.



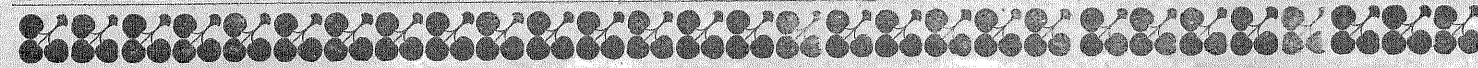
W klinice położniczej (szpital św. Elżbiety) przy ul. Narutowicza. Służba kliniki z licznymi noworodkami. W głębi matki rekonwalescentki.



Najznakomitszy aktor - charakterystyczny, Lon Chaney, mistrz maski, człowiek o stu twarzach.



Gwiazda ekranów paryskich, Marie Glory, której świetny debiut w filmie „Pieniądz” według E. Zoli, otworzył wrota do bajecznej kariery filmowej.



Podczas burzy.

...Ulewa spadła na las. Zaskoczony zniecka burza, pobiegłem ku osobliwemu domostwu, którego kontury rysowały się poprzez płynną mgłę. W chwili później kołatałem do spróchniałych drzwi. Echo mych uderzeń rozbrzmiewało długo po lesie. Deszcz wzmagał się. Przylepiony niemal do budynku, zastukałem powtórnie. Drzwi otworzyły się wreszcie i gospodarz zagrody stanął przede mną. Był to mężczyzna nieokreślonego wieku, o bladej i kościstej twarzy, niezwykle małego wzrostu, trzymający się pochyło, co wydawało się jeszcze jego karłowatość. W obliczu jego o twardych rysach i cierpiącym wyrazie, dwoje przenikających oczu, osadzonych pod gęstymi brwiami, przesyłało mnie nawłot. W spojrzeniu przebiła nieufność, podejrzenie.

W kilku słowach prosiłem o chwilową gościnę. Mężczyzna zawahał się narazie, poczem usunął mi się z drogi. Wszedłem do obszernej izby; polyskujące ściany zdradzały niezdrową wilgoć; na kominku głośniał złoto-czerwony ogień z bierwion. Z nieukrywanym zadowoleniem zbliżyłem się do płomienia.

Mężczyzna usiadł ciężko na ławce i jak gdyby zapomniał o mnie.

Nagle, drgnąłem na odgłos bolesnego jakiegoś jęku, który obił mi się o uszy. Chciałem odezwać się, prosić o wyjaśnienie, lecz gospodarz mój spojrzał mi w oczy tak ponuro i groźnie, że słowa zamarły mi na ustach.

Noc zapadła. Dziwny mój towarzysz wstał i powłócząc nogami podszedł do kominka. Jedną ze drugą zapalił świece w lichtarzach. Podniosłem się z krzesła, zdejmowany uciec od niepokojącej atmosfery tego domu, lecz gospodarz rzekł:

— Nie mogę wyprowadzić pana na taką pogodę; nie znalazłbyś zresztą drogi swej w ciemnościach. Proszę tedy za mną.

Weszliśmy na piętro. Przewodnik mój wprowadził mnie do niedużego pokoju i odchodząc powiedział:

— Pójdę poszukać jakiegoś posiłku dla pana.

Znajdowałem się w pokoju, umeblowanym prymitywnie i skąpo. Okno, zabarykadowane dwiema grubymi żelaznymi sztabami, wychodziło na las. Miejscość tchnęła pustką i niewypowiedzianym smutkiem.

Wtem, zasłyszany już jęk, do bolesnej skargi podobny, rozległ się ponownie, bliższy tym razem. Instynktownie zamierzając pójść w kierunku żalostnego głosu, gdy drzwi się otworzyły i gospodarz wszedł do pokoju. Utkwiwszy przenikliwy wzrok we mnie, postawił w milczeniu lekką kolumnę na stole i zawrócił ku drzwiom.

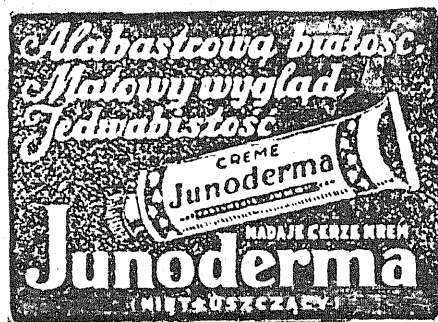
Nim znikł za nimi, stanął twarzą do mnie. Spuściłem oczy przed groźbą, płonąca w jego wzroku.

— W pańskim interesie — odezwał się wolno i dobitnie — zalecam panu nie wy-

chodzić z tego pokoju i opuściwszy jutro swój dom, zapomnieć o wrażeniach doznanych w nim.

Po tych słowach zostawił mnie samego. Przekonawszy się po jego odejściu, czy nie jestem zamknięty przypadkiem, uchyliłem cicho drzwi, nasłuchując pilnie, poczem zrobiłem kilka kroków w ciemnym korytarzu. Wtem, tuż obok mnie rozległ się ten sam, znany mi już jęk bolesny. Skierowałem się w stronę, skąd mię dochodził i unaczając ręką, natrafiłem na drzwi. Zamierzając wszelkiej ostrożności, zapaliłem zapalniczkę, w świetle której ujrzałem niewielki otwór okienny, wycięty w futrynie drzwi i szczelnie zakryty drewnianą deszczułką. Uchyliłem ją ostrożnie i ogarnąłem wzrokiem słabo oświetloną izbę.

Jednocześnie jednak uczułem serce w gardle; ktoś bowiem wchodził na schody; zaledwie zdążyłem zakryć otwór deszczułką i jednym skokiem schować się w zakęcie ciemnego korytarza. Przylepiony do ściany, czekałem z zapartym oddechem. Blask latarki zatańczył u moich nóg; rozległ się zgrzyt otwieranego zamka, okrzyk przerażenia i suchy odgłos zamykanych drzwi.



Skradając się na palcach, podszedłem znów do okienka, uchyliłem ostrożnie deszczułkę i ujrzałem rzecz straszną: gospodarz mój, pochylony nad ogniem w kominku, trzymał w ręku żelazny pręt, którego ostry koniec tkwił w rozżarzonych węglach. W jednym z kątów izby, mężczyzna, skuty łańcuchami, siedział skulony na podłodze, śledząc wysadzonemi z orbit oczyma ruchy gospodarza. Od drżenia jego członków łańcuch dzwonił bezustannie. Poprzez podarte gałgany wyglądało ciało jego do szkieletu podobne. Gdzieś niedaleko brudna, zakrwawiona bielizna niedostatecznie kryła straszne rany.

Wtem nieszczęśnik zawył ludzkim głosem; kat jego bowiem zbliżał się doń powoli z żelazną sztabą, której rozpalone do białości ostrze rzucało blade, złowrogi światło na mroczną izbę.

Nie panując nad oburzeniem nacisnąłem klamkę drzwi i wpadłem do pokoju tortur. Gospodarz ryknął rozwścieczony i rzucił się na mnie. Rozpalone żelazo upadło na podłogę. Ciśnięty z olbrzymią siłą w kąt, uderzyłem, padając, głową o kant stołu. Obezwładniony w ten sposób, okrutnik podszedł do skutego nędzarza, wołając zdławionym głosem:

— Nie ujdiesz mi, bandyto! Nie będziesz wolny! Musisz umrzeć, skoro obec-

ność twoją wykryto! Głi, morderco!

Pod żelaznymi jego palcami, zaciśniętymi wokół szyi delikwenta, ten zacharzał kilkakrotnie i ścichł niebawem.

Straciłem przytomność.

— Odzyskałem ją na łóżku szpitalnym. Obandażowana głowa bolała mnie silnie. Pielęgniarka, pochylona nade mną, pytała troskliwie:

— Bardzo pan cierpi?

— Dostyc! — odparłem.

— Może pan udzielić pewnych informacji komisarzowi policji?

— Owszem.

Opowiedziałem mu pokrótce moją dziwną i straszną przygodę.

— Pański napastnik — objaśnił mnie komisarz — sam zajął się umieszczeniem pana w szpitalu. Od niego wiemy o wszystkim. Dowiesz się pan całej prawdy, jak będziesz silniejszy.

Zaintrygowany do najwyższego stopnia, upewniłem, że dobrze się czuję, wobec czego komisarz policji opowiedział mi wypadek, którego byłem dziwnym zbiegiem okoliczności epilogiem.

Przed dziesięciu laty, pewnej burzliwej nocy znani i poszukiwani oddawna przez władze policyjne bandyci, napadli na willę, w której wypadło mi na skutek ulewy spędzić kilka strasznych godzin. Wyłamawszy drzwi, dostali się po schodach do pokoju, w którym gospodyni z dwojgiem dzieci spała snem sprawiedliwych. Niem nieszczęsne ofiary krzyknąć zdołały, zaduszono je na śmierć. W sąsiednim pokoju spał ojciec rodziny — gospodarz. Zbudzony ze snu zniecka, zdążył dać ognia i położył trupem jednego ze złooczyńców. Reszta w popłochu uciekła. Zaalarmowani żandarmi, otoczywszy las, pojmali niebawem dwóch bandytów, pewni, że szajkę stanowiło trio.

Boleść i rozpacz osieroconego ojca rodziny nie da się opisać. Samotny odtąd w swym milczącym domu, prowadził życie dzikiego odludka, unikając towarzystwa ludzi i ich pogodnych twarzy. Któż mógł spodziewać się, że czwarty bandyta należał do szajki, która zamordowała mu żonę i dzieci? Dwa aresztowani bowiem, przypuszczając, że udało mu się uciec, nie wydali współnika, który wpadł w ręce gospodarza. Nędzarz skuty łańcuchem był tym właśnie czwartym bandytą i okropne tortury, których o mały włos nie był świadkiem, miały miejsce co wieciora od lat dziesięciu. Przez całe dziesięć lat morderca był żywcem palony rozżarzoną ostrzem żelaznej sztaby przez bezlitosnego mściciela rodziny.

— Nieszczęśnik ten — dodał komisarz na zakończenie — zadusił mordercę żony swej i dzieci w obawie, że wykrytego przez pana odbiorą mu go. Ostatnie do wstrząśnienie jednakże było zbyt silne dla jego nadwyreżonego już mózgu i resztę dni swego życia spędzić mu wypadnie w zakładzie dla obłąkanych.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

ROK VI.

Niedziela, dnia 28 kwietnia 1929 roku.

Nr. 17.

Kult piękna i rytmu.



Znana w Łodzi szkoła plastyki p. Stefani Paszkówny zdobyła na konkursie tanecznym w Warszawie w dniu 14 kwietnia r. b. drugą nagrodę za pięknie odtworzone tańce plastyczne.

Na zdjęciu powyższym widzimy uczennice szkoły tej w tańcu, będącym uzmysłowieniem harmonii ruchu, dźwięku i barwy.